

# Pamflet na wszystkich ludzi (11)

Edward Pasewicz

Profesor Czubyty snuł ponure wizje na temat najbliższej przyszłości, tak samo zresztą jak i Pan Staś. Obaj mieli wrażenie, że Olimpia popycha ich w stronę kazamatów, lochów i dybów. „Uwięzi nas, będzie torturowała albo co gorsza zaprosi do lochu tego swojego strasznego asystenta, a on, ten człowiek o wiecznie skrzywionej egzystencjalnym bólem twarzy, będzie opowiadał im o polskim malarstwie współczesnym. Groza! Groza. I po przeciwnych stronach zakuje nas w łańcuchy i będę przez wieczność pożądał tego tu chłopca, i nie będę mógł go nawet dotknąć. O, tylko jego głos będzie balsamem na rany mojego serca. I jakże to będzie straszliwie wyglądało, kiedy któryś z nas będzie umierał w męczarniach, nigdy nie zaznawszy słodkości ciała drugiego”. Myślał profesor Czubyty, a jego ciało przeszywały emocjonalne dreszcze. Prawie łkał. Pan Staś zaś miał konkretniejsze i mniej romantyczne myśli. Zastanawiał się mianowicie, jak się uwolnić od Olimpii i jak to się stało, że tak jej uległ. Doszedł do wniosku, że coś musiało się popsuć w jego cudownym organizmie. Tylko co? Pewnie ustrojstwo pokiereszowało jakiś jeden z drugim neuron i teraz masz, potulny jak baranek idzie na rzeź. Właściwie to, maszerując przez plac Nowy mógłby się oddalić, zniknąć w tłumie Holendrów i Anglików, ale musiał przecież pilnować ustrojstwa.

W żadnym wypadku nie mogę pozwolić na to, by to urządzenie dostało się w łapy kogoś obcego – myślał pan Staś, obserwując zaciśnięte i wąskie usta Olimpii. No, na przykład gdyby taka Olimpia miała ustrojstwo albo, nie daj Boże, ten straszliwy tłusty typ, jedyne, co mogłem pomyśleć w tej chwili, że czekałaby nas tylko groza. Pan Staś bezgłośnie powtórzył: groza, groza. A profesor Czubyty, który to zauważył, roześmiał się radośnie w duchu, pomyślał bowiem, że oto już nie tylko ciała pchają ich ku sobie ale że i dusze jednocześnie tułają się do siebie i zaczął równie bezgłośnie jak mantrę powtarzać: groza, groza. Tymczasem Olimpia zupełnie nie wiedziała co ma z nimi zrobić. Chciała pogadać, szczególnie, że czyn Czubytego czyli uwiedzenie Pana Stasia, wydawał jej się z gruntu niemoralny. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, ile znaczy Pan Staś dla mężczyzny, który przecież był niegdyś najbliższym przyjacielem profesora Czubytego. Olimpia pamiętała czasy gdy mężczyzna, ówczesnie ważący tylko 72 kg, wychudzony i szalenie przystojny, grał z Czubytym nie tylko w jednym punkowym zespole, ale także z gracją poruszał się po boisku, pływał, a nawet ruszali razem jak pumy na nocne łowy na pikietę przy Teatrze Słowackiego, by tam przygarniać i kochać czułych zagubionych chłopców z podkrakowskich wsi. Ale kiedy nastąpiła tragedia, niejasna katastrofa i mrok wraz z tłuszczem załał ciało mężczyzny, profesor Czubyty odwrócił się od mężczyzny jak i wielu innych. Swoją drogą – myślała Olimpia – też byłam tego bliska. No, oglądanie go wysysającego szpik z wieprzowych kości czy wciągającego płaty tłustej rozgotowanej skóry nie należało do najprzyjemniejszych. A jednak wytrwałam. To zawsze było obrzydliwe. Przypomniała sobie, jak zawędrowała kiedyś niebacznie pod kamienicę mężczyzny, jak jakaś fatalna siła kazała jej nacisnąć przycisk domofonu i jak weszła do kuchni. A on tam +

siedział, picheił w garze do gotowania bielizny bigos. Z trzydzieści kilo tego było. Wlewał tam wino i picheił, a w trzech kombiwarach piekły się skrzydełka z kurczaków. I jak inni palą papierosy, tak on jednym ruchem szczęk pożerał skrzydełko niewystygłe jeszcze i ociekające tłuszczem, jakby się zaciągał, i wypływał kostki. No, groza. I po prostu tył w oczach. Robił się coraz to większy, i większy i jeszcze większy. Początkowo wszyscy starali się go jakoś usprawiedliwiać. Niejasność katastrofy i ogólna niewiedza na temat tego, co się dokładnie stało i co wpędziło go w tak fatalny stan, pozwala jego znajomym na snucie domysłów i współczucie. Niestety współczucie przegrywa z falą tłuszczu, trudności z poruszeniem powodują, że w fałdach ciała rozwijają się miasta – państwa bakterii, pasożyty zaczynają odkrywać zasady matematyki, no, kwitnie cywilizacja i śmierdzi po prostu. Boże, jak on potrafi cuchnąć – pomyślała Olimpia i głęboko wciągnęła nosem powietrze przesycone zapachem pieprzowych perfum Pana Stasia. Ale ocknęła się i skrzywiła: „Nie, nie, nie do tego gnojka to ja nie mogę mieć sympatii, chociaż trochę mam”. Pomyślała, że powinna być poprawna politycznie. To zresztą dobrze robi wizerunkowi galerii. Galeria powinna być otwarta i przodować w wykorzenianiu archaicznej i plemiennej świadomości. Dlaczego niby nie ma manekinów – grubasów? Wszystkie manekiny są chude. To obrzydliwa dyskryminacja. To trzeba nagłośnić – pomyślała Olimpia i wyobraziła sobie, że poprosi, któregoś ze znajomych rzeźbiarzy o wystawę manekinów – grubasów i pod hasłem „Dość dyskryminacji obfitego ciała” urządzi cykl happeningów w różnych znanych sklepach z ciuchami. Zafeterowana myślami nawet nie zauważyła, jak przemaszerowali przez ulicę Józefa i jak znaleźli się pod drzwiami klubu Migawka, w zamierzchłych czasach zwanego Lokatorem. Jedynego lokalu przyjaznego palaczom, świrom

i przeróżnym wykluczonym przez społeczeństwo artystom, co na krakowskim Kazimierzu jest jednak niezwykle, stężenie bowiem artystów na tym skrawku ziemi przekracza ustalone normy wielokrotnie dokładnie tak samo, jak zawartość pyłów i dioksyn w krakowskim powietrzu. Trzeba się więc rzeczywiście mocno postarać, by przejść do tego magicznego kręgu odrzuconych. Wielu, naprawdę wielu kazimierskich artystów chciałoby doznać owego odświeżającego uczucia bycia artystą wyklętym. Jednakże ich rodziny nie pozwalają im na poliamoryczne związki, na skandaliczne prowadzenie się z trzema kobietami naraz czy nie tolerują matki wszelkiego piękna, czyli schizofrenii. Kilku z nich siedziało w Migawce. Charakterystyczna wysoka poetka bezgranicznie zakochana w swoim psie, jej beckettowski towarzysz bezgranicznie zakochany w niej i w Samuelu, ich pracodawca – dyrektor upadającego od kilkunastu miesięcy Teatru bezgranicznie zakochany w pewnym przystojnym aktorze i ówże aktor bezgranicznie zakochany w swoim cwelu, którego więzi już trzeci dzień przykutego do kaloryfera, a który od czasu do czasu podczas kolacyjek i pogawędek ze znajomymi służył mu jako stolik do kawy. Na widok przystojnego aktora Olimpia zakłęła i splunęła, co tamten zauważył i uśmiechnął się do niej swoim belmondowskim uśmiechem. Kiedy usiedli przy barze, z czeluści magazynku i zmywalni jednocześnie wynurzyła się charakterystyczna postać. Cesarz tego miejsca, człowiek, który zmiażdżył słowem już tylu przeciwników, że nie zliczysz. Armani. Delikatnie przegięty, uroczo dowcipny i cudownie nonszalancki podszedł i obrzucił spojrzeniem Pana Stasia i profesora Czubatego:

- Kochanie, co za truposzy mi tu przyprowadziłaś? Ten młodszy nawet do schrupania, ale wybacz, ten starszy już nie.
- Armani, nalej na po piwie i daj popielniczki.
- Ale palisz na swoją odpowiedzialność.

Coś iskrzyło w powietrzu. Pan Staś trzymał resztki swoich nerwów, ale czuł, że jeszcze chwila, a jego spokój runie, a jak runie, to wyjdzie z niego germański oprawca i...

Armani postawił przed nimi piwa, a Olimpia, która w międzyczasie odpaliła papierosa, zaczęła mówić:

– Coś trzeba zrobić, panowie. Coś trzeba zrobić z tym światem, z tym miejscem, z tym miastem. Trzeba to wszystko albo uprzątnąć i zacząć od początku, albo nie wiem co. Jeste-

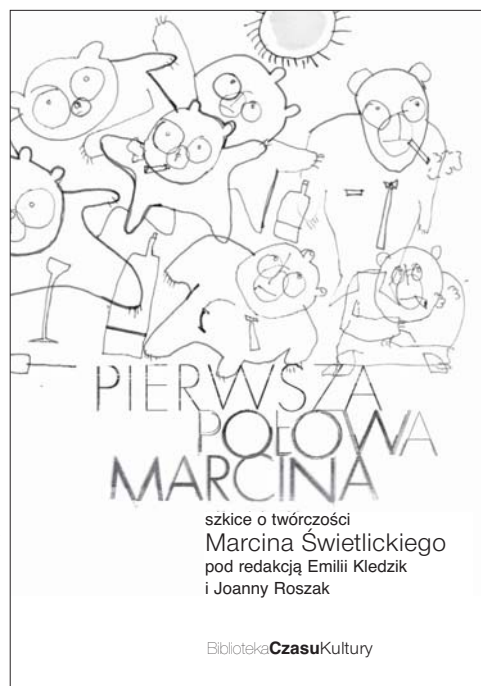
ście mi do tego potrzebni, bo tak daleko być nie może. Wiecie, że nienawidzę ludzi...

Pan Staś zdębiał i nadstawił uszu. Każda informacja o nienawiści do rodzaju ludzkiego wprawiała jego komórki, hormony, mięśnie, tkankę łączną i kostną w radosne, podniecające drżenie.

Tymczasem w Miejscu leniwi i wylansowani hipsterzy zupełnie nie przeczuwali, że w ich kierunku zmierza asteroida, która ich świat może zmieść z powierzchni ziemi. ●



foto: Andrzej Pilichowski-Piągno



„Pierwsza połowa Marcina jest doskonałym wprowadzeniem w świat kreowany przez pisarza, wysoko cenionego nie tylko przez krytykę, lecz również przez szerszą publiczność docierającą do jego poezji za pośrednictwem aktywności zespołu Świetlicki. Na plan pierwszy większości zamieszczonych w tomie rozpraw i analiz wybija się wierność poety wobec takich wartości, jak osobista suwerenność, miłość, otwartość wobec Innego, wreszcie zdolność do ciągłej rewizji własnej postawy, którą nazwać by można postawą ironicznego spacerowicza.

Dodatkową zaletą tego zbioru jest jego czytelnicza przystępność, co jednak nie oznacza rezygnacji z badawczej dociekliwości i sprawia, że szkice tu pomieszczone mają sporą energię inspirującą”.

Leszek Szaruga

♦

**Pierwsza połowa Marcina.** Szkice o twórczości Marcina Świetlickiego pod redakcją Emilii Kledzik i Joanny Roszak. Książka dostępna w dobrych księgarniach i EMPiK-ach.

Księgarnia wysyłkowa: [www.sklep.czaskultury.pl](http://www.sklep.czaskultury.pl)